

25 DNI NA WYPALONEJ TAMCE

Dla mieszkańców Tamki Powstanie Warszawskie skończyło się 6 września 1944. Po upadku Woli i Starówki przysłała kolej na nas. Naloty Sztukasów, które dotychczas niepokoiły nas sporadycznie, stały się coraz częstsze i niestety bardzo skuteczne. Alarmujące wieści biegly jedna za drugą: Niemcy już na Browarnej! Mordują ludzi, palą szpitale z rannymi! Niemcy już na Topieli! Ludzie w popłochu uciekali z dobytkiem do Śródmieścia. Zaczęły się też wycofywać oddziały powstańców

Pozostajemy więc na łasce i niełasce wkraczających ponownie na Powiśle Niemców. 37 dni drogo okupionej wolności kończy się!

Przy ul. Tamka 30 gdzie przed wojną mieścił się Dom Sierot prowadzony przez ss. Urszulanki, zorganizowałem w drugim dniu powstania punkt opatrunkowy, który szybko przemienił się w szpital powstańczy. W bardzo trudnych warunkach, bez odpowiedniej ilości leków i instrumentarium, udzieliłem pomocy ponad 1200 rannym, a także znacznej liczbie chorych. Tylko mając doświadczenie wojskowego lekarza z kampanii wrześniowej mogłem podołać tym zadaniom, a sytuacja była tym cięższa, że byłem tu jedynym lekarzem i bez fachowej pomocy pielęgniarskiej. W pierwszym okresie przy opatrunkach pomagały mi moja żona i inne panie, wykazujące więcej dobrych chęci niż umiejętności. I dopiero pod koniec otrzymałem pomoc pielęgniarki dyplomowanej, siostry Czubińskiej. Przyniesiono ją do mego szpitala z przestrzelonym płucem i gdy tylko odzyskała siły, natychmiast stanęła do pracy przy rannych.

Około południa 6 września wpadł do naszego szpitala pierwszy patrol niemiecki. Młodzi SS-owcy z pistoletami i granatami w rękach rzucili się na mnie z krzykiem: „was ist hier?” Wyjaśniłem im, że tu jest polski szpital, na co otrzymałem odpowiedź: „Więc tu są bandyci, zaraz wszystkich wystrzelamy”. Tłumaczyłem im, że tu leżą ludzie ranni przypadkowo na ulicy, ale SS-owcy nie chcieli nawet słuchać, wykrzykując raz po raz: „Banditen! Banditen!” Sytuacja stawała się bardzo groźna. Raptem błysnęła mi nadzieja ratunku: mamy ,przecież w naszym szpitalu dwóch rannych żołnierzy niemieckich! Powiedziałem to SS-owcom. Kazali się do nich zaprowadzić. Ranni wylegitymowali się swoimi książeczkami wojskowymi, po czym zapewnili przybyłych kolegów, że mieli w naszym szpitalu troskliwą opiekę i że obchodzono się z nimi bardzo dobrze. ”No, to masz szczęście!” – powiedział młody, może 18-letni SS-man, wymachując mi pistoletem przed nosem. Nie przejmowałem się tym, czując, że napięcie wyraźnie zelżało. Rzeczywiście, Niemcy uspokoili się i wdali się ze mną w rozmowę. Zainteresował ich ks. Wosiński (obecnie biskup w Płocku), który przeszedł właśnie korytarzem, Gdy powiedziałem im, że jest to duchowny kapelan internatu dla sierot, byli bardzo zdziwieni, że u nas są jeszcze księża, bo u nich wszyscy już zostali powieszani. Zapytałem, czy są ludźmi niewierzącymi w Boga, na co jeden z SS-manów odparł mi: „Naszym Bogiem jest Adolf Hitler!”

Po zajęciu Tamki Niemcy wypędzili z mieszkań i ze schronów, do których wrzucali granaty przez okienka piwniczne wszystkich mieszkańców i pognali ich w kierunku Woli. Straszny był widok tego nie kończącego się korowodu wynędzniałych ludzi, idących jak na stracenie. Obłożnie chorych Niemcy rozstrzeliwali na miejscu. Przy okazji tej nieludzkiej ewakuacji znalazło w naszym szpitalu schronienie około 30 starców niezdolnych do marszu.

Następnego dnia tj. 7 września ciężarówki niemieckie podjeżdżały pod opustoszałe domy i Niemcy wyrzucali przez okna lub wynosili cenniejsze rzeczy i ładowali je na samochody. Po tym „szabrze” ekipy żołnierzy miotaczami ognia podpały dom za domem. Nasz szpital

znalazł się otoczony morzem płomieni. Szczególnie niebezpieczny był dla nas pożar sąsiedniego warsztatu samochodowego, pełnego smarów, benzyny i acetyleny. Dzięki nieustannemu pogotowiu i ofiarności wszystkich wolnych do pracy udało się szczęśliwie uratować szpital przed ogniem.

Tego dnia w godzinach porannych odwiedził nas oficer SS, typowy korporant niemiecki, z monoklem, z blizną na policzku po cięciu szabłą. Po zwiedzeniu szpitala i rozmowie z rannymi Niemcami, podziękował mi za opiekę nad nimi i oświadczył, że żołnierzy zabierze wojskowy sanitariat. nami zaś zajmie się Niemiecki Czerwony Krzyż, który zaopatrzy nas we wszystko, czego nam potrzeba i wywiezie w bezpieczne miejsce poza Warszawę. Owszem, rannych Niemców zabrano 11 września, ale nami nikt się nie zaopiekował i pozostaliśmy nadal bez wody, światła, żywności, leków i środków opatrunkowych.

Chciałbym wyjaśnić, skąd się wzięli w naszym szpitalu ranni żołnierze niemieccy. Zostali oni przez powstańców wzięci do niewoli i jako jeńcy zatrudnieni przy budowie barykad. I w trakcie tych prac padli, na równi z Polakami, ofiarą niemieckich strzałów. Jeden ranny był lekko w udo I szybko wracał do zdrowia. Drugi natomiast Obergefr. Walter Conrad, miał głęboką ranę postrzałową pośladka – z rany wydzielała się obficie ropa z drobnymi odłamkami kostnymi. Ranę oczyściłem, ale nie byłem w stanie udzielić mu skutecznej pomocy z powodu braku leków i krwi. Ze względu na jego ciężki stan, poprosiłem go o adres rodziny, by móc ją po wojnie poinformować o losach rannego. Później adres ten gdzieś mi się zapodział i odnalazłem go dopiero w 1957 r. Wysłałem pod tym adresem list do Essen I otrzymałem od p. Conrada bardzo serdeczną odpowiedź I podziękowanie za uratowanie mu życia. Na 6 stronach opisał mi szczegółowo swoje dalsze koleje wojenne, wielomiesięczny pobyt w różnych szpitalach I wreszcie w czerwcu 1945 r. powrót do domu z trwałym inwalidztwem. P. Conrad zakończył swój list gorącym życzeniem, by ludzkość nigdy więcej nie szukała w wojnie sposobu rozwiązywania sporów między sobą. Oby tak samo myśleli inni obywatele Niemieckiej Republiki Federalnej!

Po tej krótkiej dygresji wracam do wspomnień powstańczych. Wraz ze zbliżaniem się frontu wzmożła się działalność artylerii radzieckiej i pociski wybuchały często w pobliżu nas. Postanowiłem wtedy przenieść rannych do budynku sąsiadującej z nami od strony podwórza fabryki cukierków i czekolady Domańskiego przy ul. Cichej. Budynek miał grube, solidne mury, a na terenie tej posesji znaleźliśmy starą studzienkę, która przynajmniej częściowo ratowała nas w naszych kłopotach z brakiem wody.

Około 20 września przyjechały konne podwozy z Ołtarzewa dla ewakuacji SS Urszulanek. Przy sposobności załadowałem na wozy kilku rekonwalescentów, reszta chorych i rannych pozostała wraz z nami na opustoszałym już niemal kompletnie terenie, wśród wypalonych naokoło domów. Byliśmy bez światła, wody starczało nam tylko na najniezbędniejsze potrzeby, żywił się resztkami kaszy, pozostawionej nam przez siostry.

29 września, gdy byłem zajęty zmienianiem opatrunków rannym, znajdującym się w schronie usłyszałem przenikliwy krzyk mojej żony wzywającej mnie na pomoc. Wybiegłem i ujrzałem kilka osób z personelu szpitalnego ustawionych pod ścianą, a wśród nich moją żonę wołającą do żołnierzy niemieckich: Nie strzelać! Zwróciłem się do feldfebla z zapytaniem o co chodzi. Oświadczył mi, że wydał rozkaz by wszyscy natychmiast opuścili budynek i ustawili się :pod ścianą. Powiedziałem mu, że ja i personel możemy spełnić jego żądanie, ale wielu naszych chorych nie jest po prostu w stanie podnieść się z łóżek o własnych siłach. Zapytałem również, dlaczego oraz z czyjego rozkazu mam to uczynić. Feldfebel odparł, że taki jest rozkaz jego

dowódcy. Poprosiłem, by mi pozwolił zobaczyć się z dowódcą. na co zgodził się niechętnie i polecił jednemu z żołnierzy by mnie eskortował. Przez Tamkę i Solec poszliśmy razem z żoną, która mi nie tylko dzielnie w pracy pomagała, ale i wszędzie towarzyszyła, do Szpitala Ubezpieczalni Społecznej na rogu Solca i Czerwonego Krzyża, gdzie w czasie okupacji znajdował się Leichtkrankenreservelazarett. Na podwórzu tego szpitala eskortujący nas żołnierz zameldował kapitanowi Wehrmachtu, że przyprowadził polskiego lekarza, kierownika szpitala z ul. Tamka 30. „Jak to – zirytował się kapitan -przecież cała ludność cywilna została z tego terenu ewakuowana. Nic nie wiem o żadnym szpitalu na Tamce. Wszyscy, którzy ukrywają się w ruinach spalonych domów traktowani są jako agenci bolszewicy i mają być z miejsca rozstrzelani”. Próbowałem coś wtrącić, ale mi przerwał nakazując, żebyśmy się wynieśli z naszym szpitalem w ciągu najbliższych godzin. Gdy go poprosiłem o jakiś środek lokomocji dla ewakuacji chorych odburknął opryskliwie, że nie ma środków transportowych nawet dla Niemców. Przypomniałem sobie wówczas, że podczas jednej z moich bytności w Szpitalu Dziecięcym przy ul. Kopernika słyszałem, że niejaki płk Schmidt ma się zająć ewaluacją tego szpitala. Poprosiłem więc kapitana, by mnie skierował do tego pułkownika. Zdziwił się skąd go znam, polecił jednak żołnierzowi zaprowadzić mnie do niego, a po drodze zawiadomić feldfebla, że ma ze swoim oddziałem wrócić na miejsce „postoju”. Odetchnąłem z ulgą: przydała się moja dobra znajomość języka niemieckiego – egzekucja została odroczone.

Teraz droga prowadziła z powrotem przez Solec, Tamkę, Kopernika na Krakowskie Przedmieście do pałacu Prezydium Rady Ministrów, gdzie w podziemiu (wejście z lewej strony dziedzińca) przy świeczkach urzędował płk Schmidt. Zapytał, czego chcę. Opowiedziałem mu wszystko – że zorganizowałem szpital, że mam jeszcze dużo rannych i chorych, że leczyłem dwóch rannych :żołnierzy niemieckich, że jesteśmy bez światła, żywności, materiałów opatrunkowych i leków, że wegetujemy w warunkach wprost rozpaczliwych i że proszę o ewakuację szpitala poza obręb Warszawy. Gdy objaśniłem go, gdzie leży nasz szpital pułkownik spojrzał na plan Warszawy i krzyknął na mnie, jakim prawem znajdujemy się na linii frontu. Odpowiedziałem, że właśnie chcemy się stamtąd wynieść jak najprędzej. Zapytał, dokąd? Przypomniałem sobie, że podczas powstania ks. rektor Męcikowski radził mi, żebym w wypadku ewakuacji szpitala wywiózł rannych i chorych do oo. Palotynów w Ołtarzewie, toteż wymieniłem teraz ten adres, dodając. że to jest kierunek na Błonie. Płk Schmidt znowu się zirytował: „Ach tak, więc do Błonia, gdzie 17 tysięcy bandytów przedziera się z Kampinosa na południe?”. Odparłem, że nie wiem nawet co się dzieje na drugiej ulicy, poza moim szpitalem, a cóż dopiero w Błoni. Ostatecznie zmiękł i obiecał jakąś pomoc. Obecny przy naszej rozmowie kapitan płatnik zaofiarował się. że może mnie zabrać do Ołtarzewa. bo jedzie tam w niedzielę, tzn. 1 października. Podziękowałem, tłumacząc, że mogę opuścić Warszawy tylko z moimi rannymi i chorymi. Zapytał, ilu Ich jest. Liczba 70 osób, które pozostały w szpitalu po częściowej ewakuacji rannych z siostrami Urszulankami. wydała mu się bardzo duża, ale w końcu przyrzekł, że w niedzielę 1 października o dziewiątej rano przyśle dwa samochody wojskowe.

Na polecenie płk. Schmidta poszedłem jeszcze z żołnierzem po przepustkę do adiutanta, który urzędował w Hotelu Bristol. I nareszcie otrzymałem przepustkę, zezwalającą na ewakuację 35 rannych i chorych do Ołtarzewa. Uradowany wróciłem do szpitala. Pełni nadziei, ale i niepewności oczekiwaliśmy teraz upragnionej niedzieli.

O godzinie dziewiątej zajechały pod szpital dwa duże samochody wojskowe. Załadowałem rannych jak się dało – leżąc na noszach, siedząc stojąc. i „wisząc”. Upchałem 57 osób, w tym 17 starców. Niestety, dla 13 starców, najbardziej niedołącznych, miejsca już nie było i musieliśmy ich na razie zostawić w szpitalu. Wręczyliśmy im odpis przepustki, wydanej przez

plik. Schmidta z adnotacją w języku niemieckim i to bardzo czytelnym pismem. że z powodu braku miejsca w samochodach wojskowych reszta chorych będzie ewakuowana podwodami konnymi w dniu następnym tj. 2 października. I tak rozpoczął się nasz exodus wyludnionymi ulicami, pośród ruin i zgliszcz naszego miasta. Droga prowadziła Tamką do góry przez Kopernika; na Krakowskim Przedmieściu przed kościołem Św. Krzyża leżała na jezdni figura Chrystusa z ręką wzniesioną ku niebu. Na Wolskiej, gdzie znajdował się punkt zborny dla wypędzonych z domów warszawiaków widzieliśmy tłum wynędzniałych ludzi, czekających na transport do obozu w Pruszkowie. Jechaliśmy dalej pełni troski i obaw, czy Niemcy dotrzymają słowa, ale gdy minęliśmy Wolę, a później Ożarów przed nami ukazał się wreszcie Ołtarzew.

Na miejscu okazało się, że cel naszej' eskapady, klasztor oo. Palotynów został zajęty przez Niemców na szpital, ulokowaliśmy więc naszych chorych w nie wykończonym domu, po czym .natychmiast poszedłem do wójta w Ożarowie ,i poprosiłem go o trzy podwozy konne na dzień następny, aby przywieźć naszych starców. Odważyłem się pójść na posterunek żandarmerii choć jak wiadomo Niemcy wszystkich warszawiaków, którzy w ten czy inny sposób ominęli Pruszków, zatrzymywali i kierowali do ,tego obozu – tu znowu dobra znajomość języka niemieckiego pomogła mi w uzyskaniu zezwolenia na wyjazd 17 osób (3 woźniców, 1 siostry i 13 starców) z Warszawy do Ołtarzewa.

Nad ranem 2 października jedna siostra pojechała z podwodami do Warszawy. Na miejscu stwierdziła z przerażeniem, że budynek fabryczny, w którym mieścił się nasz szpital został spalony, a .schodząc stopniami w dół zobaczyła zwęglone zwłoki. Naszych 13 nieszczęsnych starców spotkał los, który miał być i naszym udziałem.

JERZY ROWIŃSKI

Źródło

Halina Jędrzejewska Lekarze Powstania Warszawskiego 1VII – 2 X 1944 wyd. TLW oraz Stolica : warszawski tygodnik ilustrowany. R. 24, 1969 nr 36